Ner 8. Kraków, dnia 16go Kwietnia 1871. Rok III.

# WŁOŚCIANIN.

## Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca.— Włościanin kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75.— Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina“ zarazem i przedpłatę na „Zagrodę“— płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.

(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca).

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 centów na stempel. — Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „**Włościanina**“ Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

## Historyja Radomyśla.

(Dokończenie).

Piérwszy kościół parafijalny oraz i klasztorny stał 177 lat. W r. 1733 rabusie napadli na klasztór, złupili wszystko i zrabowali, a kościół podpalili, że ledwie ludzie cokolwiek domu bożego ocalili. Wtedy dopiéro Augustyjanie wzięli się z ludźmi za ręce i z jałmużny, a szczególniéj z darów Konstancyi z Drzewickich Sołtykowéj, kasztelanowéj lubelskiéj, na nowo kościół odbudowali. Ten drugi kościół był z sosnowego drzewa, na tém samém miejscu, gdzie i piérwszy, ale większy od tamtego. Był w formie krzyża, w stylu bizantyńskim, z dwiema wieżami na przodzie, z sygnaturką na środku, a w około były krużganki. W wielkim ołtarzu był obraz św Jakóba, w kaplicach św. Anny i św. Jana z Fakundy; w bocznych św. Augustyna i Matki Boskiéj pocieszenia. Ten kościoł nie był przez biskupa konsekrowany, ale gdy go w r. 1739 ukończono, zjechał na wizytę klasztorną ks. Cherubin Stefan, prowincyjał Augustyjanów polskich i litewskich, który z polecenia biskupa krakowskiego w niedzielę d. 10 sierpnia kościół benedykował. Dopełniwszy tego obrzędu, we wtorek 12 sierpnia rano, kiedy dzwonili na paciérze ks. prowincyjał Bogu ducha oddał, a pogrzebano go pod kościołem.

Drugi kościół klasztorny oraz i parafijalny stał tylko 72 lat, bo się spalił 8 maja 1805 r. a to takim sposobem. Po r. 1800 pewnego lata kupcy od Jarosławia galarami spławiali pszenicę Sanem na Wisłę do Gdańska. Kiedy spoczywali na Sanie blizko Radomyśla, okoliczne wsie rzuciły się na rabunek pszenicy, bo wtedy był wielki głód. W komisyjach okazało się, że najwięcéj rabowali chłopi z Lipy, należącéj już pod monarchę rosyjskiego. Gdy to Radomyślacy zeznali, wtedy chłopi lipscy z nienawiści miasto podpalili. Zpłonęła wtedy połowa miasta i kościół z klasztorem. Wiele się wypaliło sadów i pasiek, bo się Radomyślacy tém trudnili. Wysoki rząd straty ogniowe pogorzelcom w kilku dziesięciu latach łaskawie zwracał. Od r. 1805 nie było parafijalnego kościoła w mieście przez 23 lat, bo dopiéro w r. 1828 postawiono trzeci kościół na tém samém miejscu i między temi samemi lipami i morwami, gdzie stały tamte dwa.

Trzeci kościół parafijalny, który dziś stoi, jest z drzewa sosnowego, poprostu zbudowany, z gankiem na przodzie i z sygnaturką na wierzchu. Fundowała go parafija składająca się z Radomyśla, Żabna i Nowin, również i dziedzice tych osad. Ma trzy ołtarze z obrazami św. Jana Chrzciciela, Matki Boskiéj pocieszenia i św. Michała. W r. 1850 konsekrował go ks. Franciszek Wierzchlejski, biskup przemyski.

Zaraz po r. 1625, już za czasów Augustyjańskich, kiedy na górze Kowalisze zwanéj Zjawieniem, stała kapliczka z obrazem Matki Boskiéj Bolesnéj, pewien kupiec spławiał Sanem tratwy na Wisłę. Powódź była wtedy taka, że kupiec i flisacy byli w wielkiém niebezpieczeństwie życia. Wołali ratunku, ale nikt ich nie słyszał. Wtedy kupiec w wielkiém uniesieniu klęka na tratwie i woła: Matko cudowna z Radomyśla ratuj nas, a wystawię tu z tego drzewa kościół na Twoję św. chwałę! I jakby cudem tratwy zbliżały się ku brzegowi, ludzie się zbiegli i wszystko uratowali. Z tego modrzewia wybudował ów kupiec kościół na górze pod wezwaniem Matki Boskiéj Bolesnéj. Był on dosyć duży, miał trzy ołtarze, małe chórki przy wielkim ołtarzu i większy chór z organkami. Kopułę

bardzo piękną, a dzwon był na lipie. W całéj okolicy nie było takiego kościoła.

Kiedy Augustyjanie byli przy piérwszych dwóch kościołach w mieście, to jeden ksiądz codzień chodził ze mszą św. na Zjawienie, a kiedy nie było parafijalnego kościoła, to ks. plebanie Bąkowski i Kosowski wszystkie czynności parafijalne odprawiali na Zjawieniu przez 23 lat. Kiedy w r. 1828 nabożeństwo zaczęło się odprawiać w nowym kościele w mieście, ten na Zjawieniu chylił się ku upadkowi tak, że go po r. 1843 rozebrali, a z tego modrzewia wystawili organistówkę w mieście.

Na Zjawieniu nie było już ani chróścianéj kapliczki ani drewnianego kościołka. Od kilkudziesięciu lat przeniesiono tam cmentarz, który był przy piérwszych dwóch kościołach w mieście. Smutno już było na Zjawieniu. Ludzie tam chodzili w niedzielę i święta podczas lata, ale im zawsze czegoś brakowało. Od dawnych pokoleń przyzwyczajeni tam do kościołka, do Matki Boskiéj Bolesnéj tułali się teraz jak siéroty bez ochronki. W tym to czasie pewna wielce cnotliwa i pobożna panna imieniem Franciszka Pawłowska sprowadziła się do Radomyśla i tu założyła szkółkę dla dziéwcząt. Ta p. Pawłowska bardzo się przywiązała do ludzi radomyskich i do św. miejsca na Zjawieniu. Często tam chodziła na modlitwę, na przechadzkę i całemi godzinami nieraz tam przebywała, mawiając że jéj tam najmiléj. Pewnego razu, a było to w niedzielę po południu, gdy już wszyscy po litanii poszli ku miastu; ona sama została, zbiérając poziomki i kwiateczki po górze. Z tych jagódek i kwiatków uwinąwszy wianeczek, zawiesiła go na lipie. W tém tak jéj się jakoś tęskno zrobiło, że usiadłszy pod lipą w zadumaniu usnęła. We śnie widzi pod drugą lipą gromadkę dzieciaków w białych koszulkach grających na fujarkach i śpiéwających „Stała matka boleściwa“ — przed sobą widzi kobiétę w białym rańtuchu mówiącą do niéj: Siostro moja! po co ty tu chodzisz? Czy może szukasz kapliczki z chróstu, co mój Jaś postawił? Czy tego pięknego kościoła, co się tu zawalił? Ot widzisz, że tu już nic nie ma! Ja tylko chodzę i płaczę nad ludźmi, że teraz o Matce Najśw. zapomnieli. Idż do miasta i powiedz im, że Kowalicha z grobu do nich woła, ażeby tu wybudowali kościół dla Matki Boskiéj Bolesnéj, który będzie przybytkiem ich pociechy. Przebudziwszy się, odmawiając paciérz, szła ku domowi, a śpiéw onych dzieciakow długo jéj się w duszy odzywał.

Przemyśliwała p. Pawłowska w domu, jak by się wziąść do dzieła: Jam uboga i ludzie ubodzy, cóż zrobimy? Ale zacznę — mówiła do siebie — a może po mojéj śmierci kto dokończy. Jakoż udała się do pani Felicyi księżnéj Lubomirskiéj w Charzewicach. Ta dobra pani zrobiła początek, za nią państwo Bogusław i Zofija Horodyńscy ze Zbydniowa, państwo Brunowie Trojaccy ze Pniowa, i inna okoliczna szlachta dawała grosz, drzewo, cegłę i t. d. — Chodziła p. Pawłowska po okolicy i zbiérała składki. Miała ona dosyć przeciwników, co nie wierzyli w jéj zamysły i naśmiéwali się z niéj nawet, ale gdy kościół zaczęto murować i coraz więcéj murów przybywało, widzieli dopiéro wszyscy, czego to Pawłowska wytrwałością i podziwu godną ciérpliwością dokaże. Mieszczanie się rzucili ze składkami, a że to prawie sami mularze, więc kościół wystawili a pomoc mieli z okolicznych wiosek. Trzeba tu wspomnieć, że wiele ludzi składało się z blizka i z daleka, a ci są zapisani w osobnéj książce fundatorów, jednak ten kościół jest dziełem prawie tylko p. Pawłowskiéj, za co w Radomyślu jéj imię niech będzie w późne pokolenia wspominane, a jéj przywiązania się do Radomyślanów, niechaj wieki nie zatrą.

Ten nowy murowany kościołek na Zjawieniu zaczęty w r. 1850, a ukończony w r. 1859 jest w stylu mięszanym, ni gotyckim, ni rzymskim, z piękną facyjatą, na któréj jest dzwonek. Wewnątrz ma trzy ołtarze: Wielki z obrazem Matki Boskiéj Bolesnéj, co był jeszcze w chróścianéj kapliczce, dwa boczne z obrazem Chrystusa w ogrojcu, co go sprawił p. Leon Krupecki z Warszawy, i z obrazem św. Felicytaty, co go sprawił książę Jérzy Roman Lubomirski z Charzewic. Przy wielkim ołtarzu są chórki czyli loże, ambona, chór i organy. Cały kościołek wyglada jakby królewska kaplica, bo p. Pawłowska zawsze o nim myśli i przystraja go jak przystoi na salon Najwyższéj królowéj; a ludzie zawsze według możności ofiarki czynią.

Franciszek zmęcznoy czytaniem zażył tabaki, a ja się go pytam, czy też nie ma co na téj karcie i o szkołach?

— Jest — odrzekł — i począł daléj czytać: Ks. Augustyjanie dbając o naukę wybiérali chłopców miejskich i uczyli ich w klasztorze, a potém wysyłali do Warszawy na naukę. Z takich chłopców wyszło kilku na księży Augustyjanów: Liberat Jan Piasecki był nawet przeorem w Radomyślu w r. 1637 i zaprowadził bractwo pocieszenia, Placyd Michał Karwański u-

marł klerykiem w Brześciu litewskim, Fulgenty Kazimirz Rokosz umarł kaznodzieją w Wieluniu, Leonard Wawrzyniec Mucha umarł przeorem w Krasnymstanie, Augustyn Skoczek umarł plebanem w Siemieniowce, Augustyn Wojciech Piasecki umarł spowiednikiem gorliwym w Warszawie r. 1832, nareszcie ks. Przymykała zmarły plebanem w Grębowie, brał także nauki u Augustyjanów warszawskich. Klasztór warszawski był jakby domem przytułku dla Radomyślaków.

Jak za czasów augustyjańskich tak i późniéj długo nie było rzeczywistéj szkoły w Radomyślu, dopiéro po r. 1800 uczył dzieci Kokoszyński, organista Maciéj, a później Franciszek Gotner, lecz to także ustronnie; aż po 1820 zaprowadzono rzeczywistą szkołę, a nauczycielami byli: Miller, Radyłowicz, Justyński, nasi Sebastyjan Okoń i Franciszek Dzikowski, Tinz, Dmóchowski, Krajewski, Blij, a obecnie Jędrzéj Pantera.

Piérwszy budynek szkolny wystawili wraz z mieszczanami ks. Augustyjanie na ich ogrodzie, pod którym były sadzawki na ryby i cegielnia, ale ten budynek zgorzał wraz z miastem i kościołem. Prawie przez 50 lat wynajmowano domy na szkołę i mieszkanie dla nauczyciela, aż dopiéro w r. 1863 gmina wymurowała szkołę, jak klateczkę. Ks. pleban Józef Burdziński, Radomyślowi bardzo przychylny, wiele się do téj szkoły przyczynił, gdyżby była nie stała w takiém piękném miejscu, obok kościoła.

— Czy Radomyśl dotąd należy jeszcze do dziedziców z familii Sienieńskich? — pytałem.

— Już do nich nie należy — odrzekł Franciszek — bo dawno przeszedł w inne ręce. W r. 1743 należał do braci Sebastyjana i Mikołaja Wyżyckich, z których Marcin był arcybiskupem lwowskim. Później przechodził w ręce Suchodolskich, Rafałowiczów, Hornów, a obecnie Bogusława i Zofii Horodyńskich. Dziedzice nie mieli i nie mają w Radomyślu posiadłości prócz propinacyi, a z tytułu dziedzictwa są kolatorami kościoła. Jan Rafałowicz chciał miastu odebrać pastwistko Zarufie, o które był długo proces, i dopiéro w r. 1846 Radomyślacy wygrali, bo to było za czasów Karola Horna, miastu życzliwego. W tym procesie wielkie położyli zasługi: Wojciech Dybuś, Wawrzyniec Skoczek i Maciej Dzikowski.

— Czy też Radomyśl robił pańskie? — pytałem.

— Nie robił — rzekł Franciszek z powagą — bo to było miasto wolne, gdyż takiém chciał go mieć założyciel ś. p. Jakób Sienieński z żoną Reginą. Lecz późniejsi dziedzice wciągali gwałtem mieszczan do pańszczyzny i szarwarków, ale ks. Augustyjanie bronili miasta u królów w Warszawie, bo tam mieszkał zawsze ich prowincyjał. W Radomyślu, był nawet magistrat, po którym została tylko pieczęć z herbem trzech słupów i napisem: Sigillum magistratuale opidii Radomyśl. Papiérów zaś o magistracie nie ma żadnych, bo się częścią spaliły, a częścią zmarniały. Magistrat radomyski miał nawet prawo miecza, jak dowodzą akta stare w Warszawie, Urzędowie, nareście w księdze miejskiéj opisane, jak ławnicy radomyscy na śmierć nawet zasądzali. Magistrat zaginął pewnie z powodu któregoś ze szlachciców skowierskich i kilku mieszczan radomyskich. Późniéj oprócz ów cyrkuł i swego wójta, miał Radomyśl jeszcze urząd pański, zwany Dominium w Skowierzynie. Dziedzice utrzymywali swoich urzędników zwanych mandatarami a pospolicie sędziami. Takich Radomyśl pamięta 26 a z nich tylko Franciszek Watzka był ludziom najprzychylniejszy.

— Dużo téż u was żydów, i jak oni żyją? pytałem.

Przed r. 1800 rzekł Franciszek — było ich tylko kilka rodzin, lecz teraz będzie przeszło 300 dusz. Trudnią się cokolwiek rzemiosłem a więcéj handlem. Żyją z nami w zgodzie, tylko nieostrożni z ogniem, albowiem z ich nieostrożności już kilka było znacznych pożarów w mieście.

— Czémże się trudnią mieszczanie? — pytałem daléj.

— W dawnych czasach — rzekł Franciszek — trudnili się piwowarstwem. Piwo radomyskie słynęło w dalekich miastach. Późniéj trudnili się garbarstwem, szewstwem i kuśnierstwem. Roboty radomyskie szły aż na Wołyń i Ukrainę. Po r. 1800 wzięli się do mularstwa i tkactwa. Mają i po kawałeczku pola, na którego uprawę prawie cały zarobek wkładają, pracują w pocie i we łzach na kawałeczek chleba.

— To prawda — mówię do Franciszka — że u was lud bardzo pracowity, a biédny. Ale za to bogatszy w cnoty od innych miasteczek. Bo gdzież taka pobożność, moralność, praca i wszelaki porządek jak u was? Okoliczne miasteczka już straciły barwę starego mieszczaństwa, a wy się jakoś utrzymujecie, a żeście dobrzy, to was Pan Bóg strzeże od ciężkich grzéchów. Na koniec naszéj rozmowy powiem wam, mój Franciszku, że za to samo Radomyślanów

Bóg będzie błogosławił, że żyją w jedności i zgodzie ze sąsiedniemi wioskami. Piękne przykłady zostawili wam przodkowie wasi, a dałby Bóg, gdyby i potomstwo zapatrywało się na was.

*K. z T.*

# Kalina — Dziewczyna.

Zapłoniła lica młode
Nad wodą kalina;
Rozsławiła swą urodę
O wiośnie dziewczyna.
Jasne liście pociemniały
Na kaliny szczycie;
Czoło dziéwy sny owiały,
Tęskno płynie życie.
I przybiegła chmurka biała,
I słońce zakryła;
I kalina orzeźwiała,
Liście powznosiła.
I do dziéwy przyszły swaty
Z darem a pokłonem,
I zakwitły krasy kwiaty
Na licu schmurzonem.
W pąk kalina powiązana,
Strzechę wieńcem stroi,
A dziewczyna poswatana
U ołtarza stoi.
Już jesienny liść kaliny
Łan zaściela czarny;
Już krasiwy wdzięk dziewczyny
Cień powleka marny.
Przejdzie jesień, zima głucha
Nad wodą w krzewinie;
Biały gołąb znów zagrucha
Kwitnącéj kalinie.
Lecz choć rozwrze drogi
Po szérokim świecie,
Matko! już w ojczyste progi
Nie wróci twe dziecię...

*Romanija B...*

# Zdarzenie w Melsztynie.

## I.

Piękne są okolice naszéj ziemi polskiéj, i każdy to powié, kto stanie nad srébrzystą wstęgą Dunajca, a spojrzawszy na skalistą górę, obaczy na niéj rozwaliny zamku melsztyńskiego. Mają one jakiś dziwny w sobie urok i mimowolnie nęcą przechodnia, by wydrapawszy się do nich, ukołysał duszę pięknym widokiem. Jak wyglądał dawniéj zamek melsztyński, wiécie już o tém, kochani Czytelnicy! A co się tam stało, posłuchajcie!

Razu pewnego, a bardzo dawno już temu, zapanowało w zamku tym wielkie zamięszanie. Ludzie cisną się tłumem przed jego mury, a wszyscy mają pobladłe lica, wszyscy smutni, cichym szeptem jakąś tajemniczą wiodą rozmowę.

— I cóż się to stało? — pytają jedni.

— Pani zamku bardzo rozpacza — mówią inni — bo mąż jéj wyszedłszy świtem ze strzelbą w pole, dotąd nie wraca. Już zmrok zapada, ludzie szukają i śledzą, ale pana jak nie ma, tak nie ma...

— Co się to znaczy? — wtrącił ktoś ze zgromadzonych.

Wtém na dziedzińcu buchnęło światło łuczywa, ludzie cisną się w tę stronę i widzą skrwawione zwłoki człowieka...

— To ciało pana kasztelana! — wzdychają ludzie.

Jak postrzelona sarna wybiega z zamku zmięszana pani, a poznawszy w trupie swojego męża, upada na ziemię, mdleje i od zmysłów odchodzi...

Wypadek ten sprawia ogromne zamięszanie. Biegną służebnice, zléwają ją wodą, budzą do życia i na barkach swoich zanoszą do zamku.

A przy trupie stał starzec pochylony z zmienioną twarzą i w slup obróconemi oczyma.

— Robercie! — mówią ludzie — uspokójcie się dla Boga, wy panu nie przywrócicie już życia!...

Ale Robert nic nie słyszy, nic nie widzi, tylko zwłoki ukochanego pana, w którym zatopił swe oczy. A był to poczciwy, stary sługa, który wypiastował nieboszczyka; służył mu wiernie i uczciwie — on teraz rozpacza, bo stracił pana, którego wychował na rycérza...

— Robercie! — powtarzają ludzie — ukójcie się w żalu, bo nam miłe wasze życie!...

Ale Robert i tym razem nie słyszy napomnień ludzi, jęczy boleśnie, ściska dłonie, chwieje się i wreszcie sił nabrawszy, staje z groźną miną, macza swe palce we krwi pana i z głośnym płaczem wymawia:

— Przysięgam Bogu, choć jestem starym, tyle dokazać muszę, że wykryję mordercę mojego drogiego pana i pomszczę się jego krzywdy!..

I wzięto do zamku zwłoki kasztelana, światło zniknęło i wkrótce na dziedzińcu grobowe powstało milczenie.

## II.

Na pogrzebie pana kasztelana mnóstwo było ludzi, bo każdy z dala czy z blizka spieszył

uczcić pamięć szlachetnego i dobrego człowieka. Było tam księży, panów i ludu wiejskiego bez liku, a pogrzéb był nadzwyczajnie okazały.

Po pogrzebie księża i panowie zgromadzili się w zamku i przy przekąsce i napitku rozmawiali o cnotach nieboszczyka, żałowali go jako dobrego przyjaciela i dobrodzieja, lecz pani kasztelanowéj ani widać; w czarnéj sukni ubrana, zamknęła się w odległéj komnacie i zapewnie ciężkiemu oddała się smutkowi.

Pomiędzy księżmi znajdował się także ksiądz przeor zgromadzenia OO. Reformatów z Zakliczyna, sławny z pięknéj wymowy, toć też żywą prowadził z wąsatą szlachtą przy karabelach rozmowę o potyczkach i wojnach, na których wspomnienie ruszały się im serca i wesoły obudzał się humor. A w kąciku przy podwojach stał skromnie najmłodszy braciszek klasztorny Idzi, i co chwila spoglądał na przeora, bo wiedział, że to człowiek, choć poważny i dobry, surowy i ostry, lubi każdą najmniejszą skarcić nieprzyzwoitość.

Idzi stał więc obyczajnie i słuchał rozmowy.

Dano znać do stołu. Wszyscy zajęli miejsca podług godności i zaszczytów, gwar ustał, słychać tylko było brzęk talérzy uderzanych widelcami i nożami.

W tém otwiérają się podwoje i w błyszczącéj zbroi wszedł młody usarz. Wojskowym ukłonem pozdrowił biesiadujących i nie zatrzymując się wcale, szybko przeszedł salę i wstąpił w podwoje z drugiéj strony.

Szmér powstał ogólny.

— Czy to krewny jaki — pytano — który przybył otrzéć łzy nieszczęśliwéj kasztelanowéj?

— Nie wiémy — mówiono — ale to jest zapewnie jakiś powinowaty, bo gdzieżby się kto inny odważył tak śmiało wstępować w pokoje pani zamku?..

— Kto to być może?—łamano sobie głowy, ale nikt nic pewnego nie umiał powiedzieć. Domyślano się różnie i na tém zakończyłaby się ciekawość biesiadników, gdyby nie braciszek Idzi, stojący w kącie.

— To nie krewny pani kasztelanowéj — odzywa się braciszek Idzi — to jest mościpanowie pan Zbigniew. Znam go doskonale, a znam jeszcze z dawniejszych czasów. Oho, pomnę sobie dzisiaj całą przeszłość, kiedy byłem posługaczem pana Zbigniewa. Wówczas pani kasztelanowa, która teraz tam w komnacie wyléwa łzy rzęsiste, była jeszcze panienką i mieszkała w Wojniczu. Pan Zbigniew pisywał do niéj listy, ona znów do niego, a ja byłem pośrednikiem między nimi, bo ja im roznosiłem te listy.

O, mój Boże! było mi wtedy dobrze, bo umiałem dotrzymać sekretu i ani słówka nie wypuściłem z ust moich, bo tak się należy chować tajemnicę... Były téż to dla mnie złote czasy! Złotówki brzęczały w méj kieszeni i było wszystko, czego żądałem od pana Zbigniewa... Ale z wyroków Bożych stało się niebawem inaczéj! Pan kasztelan, któremu niechaj wieczne będzie odpoczywanie, ujrzawszy pannę, upodobał ją sobie bardzo, wmięszał się w kochanie jéj z panem Zbigniewem, poszedł do rodziców i jak jął prosić — postawił na swojém, panienka została jego żoną... Miły Boże! zmieniły się dla mnie czasy, i zacząłem biédny myśleć o szérokim świecie... Pan Zbigniew z rozpaczy za panienką, obrzydził sobie ojczyste kąty, opuścił dom i rodziców i puścił się het tam na wojnę — a ja, ja biédny pachołek cóż miałem robić? Wstąpiłem do klasztoru i nieraz wspominam sobie minione czasy...

Obecni goście słuchali z zadziwieniem tego opowiadania, rozwiązywali sobie po części ciemną zagadkę, lecz ksiądz przeor OO. Reformatów zmarszczył brew i spojrzawszy surowo na braciszka zawołał:

— Milcz! a gadaj tylko wtedy, gdy cię pytają!

Braciszek przyparł się do kąta i ani słowem nie odezwał się więcéj, patrząc tylko, co robią biesiadnicy.

(Dokończenie nastąpi).

## Śmigust.

Drugi dzień świąt Wielkanocy zazwyczaj bywa obchodzony wesoło z żartami, swawolą i pustemi figlami czyli obléwaniem się wodą. Chłopcy nie żałują wody i obléwają nią dziéwczęta, a dziéwczęta także odwzajemniają się chłopcom, jednakże jako słabsze, zawsze przytém więcéj ucierpią. Obyczaj ten przyjęty u nas od niepamiętnych czasów, obchodzony bywa wszędzie tak w miastach jak po wsiach, jak u włościan tak i między panami. Chłopcy na wsi nieraz przebiérają miarkę w tych figlach i zléwają bez miary konewkami, a często do rzék lub stawu wrzucają dziéwczęta. Jednakże téj ostatniéj psoty pochwalać nie można, należy ją owszem jak najmocniéj zganić, bo częstokroć z tego wyniknąć może ciężka choroba, jak n. p. febra.

We wsi Dąbrowie mieszkał wielce szanowany Stanisław Skiba, który chociaż syn włościański, bardzo był uczony i oczytany, pokończył bowiem szkoły i dużo książek czytał. Pochwalał on każdy zwyczaj dawny i z radością przypatrywał się każdemu takiemu obchodowi, jako pamiątce zachowanéj po przodkach. Ale gdy widział, że niektórzy nadużywają tego zwyczaju, to ganił i karcił ostrém słowem swawolnych psotników. Otóż gdy zobaczył, że chłopcy porwawszy dziewczynę wrzucili ją do stawu, rzekł do nich:

— Hola chłopcy, tak się nie godzi robić i nie powinno się nadużywać tego obyczaju.

— Kiedy oblać, to już porządnie, odezwał się jeden z wesołych chłopców.

— Moi kochani, ten obyczaj nie pochodzi od topienia ludzi. Dlatego nie powinno się nikogo rzucać do stawu, tylko oblewać.

— A zkąd to pochodzi ten obyczaj?— zapytał jeden z ciekawych.

Skiba rzekł na to:

— Obyczaj ten oblewania wodą w drugie święto Wielkanocy od bardzo, bardzo dawnych czasów pochodzi i dwojaki zdaje się mieć początek. Najprzód z tego, że w Jerozolimie, gdy Pan Jezus zmartwychwstał, chrześcijanie schodzili się i o zmartwychwstaniu rozmawiali, Żydzi dla rozpędzenia gromady chrześcijan oblewali ich z okien wodą. Powtóre także ztąd prawdopodobny początek tego obyczaju, że gdy u nas w Polsce, a szczególniéj w Litwie wprowadzono świętą wiarę, księża nie mogli od razu tak wielkiéj liczby ludu ochrzcić w kościele lub też w domu, więc obrzęd ten odbywał się przy rzéce. Poświęciwszy wodę w rzéce, księża obficie skrapiali nią licznie zgromadzone tłumy narodu. A trzeba wam wiedzieć, że wtedy chrzczono nietylko małe dzieci, ale dorosłych i starych, którzy porzucili wiarę pogańską.

— A dla czegóż ten obyczaj śmigustem nazywają?— zapytał rozciekawiony Sobuś.

— Śmigust czyli Smigurst, albo dyngus, znaczy podarek, który w drugie święto wielkanocne dają — mówił Stanisław Skiba. Podług dawnego obyczaju w poniedziałek wielkanocny chłopcy oblewali dziewczęta, we wtorek zaś i dnie następne dziewczęta chłopców. Śmigust czyli podarek wielkanocny był więc wykupem, t. j. kto nie chciał być oblanym, musiał się wykupic jakim datkiem. Podług starożytnego obyczaju dziewczęta niosąc przed sobą wierzchołek sosniny, przystrojony różnemi błyskotkami, wchodziły do domów, śpiéwały stósowne piosenki i zbiérały podarki. Chłopcy zaś chodzili z kogutkiem i pokazywali mu rozmaite figle i sztuki a po uczęstowaniu ich kompanie się łączyły i razem wszyscy się bawili lub tańczyli. Gdzie niegdzie chodziły także po wykupnie czyli po śmiguście ubożsi studenci ze szkółek, i po domach opowiadali z pamięci wiérsze o Zmartwychwstaniu Pana Jezusa i dodawali:

A ja tę nowinę do państwa wznoszę
I o wykup proszę.

A zakończając przypomnieniem o podarek śpiewali:

Przyszedłem tu po śmiguście
Co mi dacie w torbę włóżcie.

Dawano im za to kołaczyki, paski, święcone jaja, lub też farbowane, które nazywamy pisankami.

— Jak to dobrze wiedzieć —rzekło kilku. Dziękujemy wam za to opowiadanie.

— Nie macie za co dziękować, tylko nie wrzucajcie nikogo do wody, bo taka zabawka jest szkodliwą.

— Usłuchamy was panie Stanisławie, odezwali się chłopcy.

— No to dobrze, rzekł Stanisław Skiba odchodząc i dodał:

— A przyjdźcie do mnie po Smiguście zaśpiewacie i zabawicie się trochę, każdemu dam kołacza i pisankę na śmigust.

---

# Lipa i użytki z niéj.

Piękne i wspaniałe to drzewo kwitnie w lipcu. Czy to w ogrodach czy w lasach, czy koło dróg naszych, postawą swoją doskonałym cieniem i szczególnie miłą wonią skromnego wprawdzie, ale obfitego kwiecia każdego przechodnia zwykła zwracać uwagę. Zapewne téż i miesiąc lipiec na cześć lipiny nazwany został; w ciągu bowiem niego nietylko kwitnie, nietylko pszczolarzom i pszczółkom zabiegliwym jest miłą, ale i w nasieniu swojem się zawięzuje, oraz liczne daje ze siebie ciągnąć pożytki. Sądzę, że nie zbyteczną będzie rzeczą opowiedzieć tu całkowitą lipy historyję bo nie myślmy, aby ona tylko odznaczała się powierzchownością; zastanowiwszy się bliżéj wielu się nowych rzeczy dowiemy.

Lipę prawie każdy poznać jest w stanie i z pewnością na pierwszy już rzut oka odróżni ją od innych drzew i krzewów.

Zazwyczaj ku północy kraju naszego rośnie lipa małolistna, a na południe częstsza jest o liściach wielkich. Kwiaty lipiny mają woń słabą ale nadzwyczaj miłą; niekiedy bardzo przepełnione miodem, zawsze o-

lejkami przyjemnemi. Z tąd roje pszczół osiadać je zwykły, a krzątaniem się swojém i roztwiéraniem kwiatków roznoszą zapach do koła. Często podczas upałów mianowicie i to przed dészczem, kwiaty lipowe rosą miodową są pokryte, co także i na liściach spostrzegać się daje.

Radzimy zbiérać je w tym miesiącu i to jak najrychléj, nim się jeszcze nasiona w nich zawiążą, bo są w tym stanie w aptéczkach domowych najużyteczniejsze.

Lipa jest drzewem piérwszéj wielkości. W korzeniu głęboko i széroko się rozrasta, dlatego téż wiatr jéj tak łatwo nie wywraca. Dochodzi czasem do starości nadzwyczajnéj, czego przykładem są słynne lipy historyczne, czy to te, pod cieniem których piérwsi przodkowie nasi obrządki religijne odprawiali, czy téż owe na pamiątkę wielkich zdarzeń krajowych lub rodzinnych powszechnie na ziemiach naszych sadzone. Słyszał zapewne każdy o wspaniałéj lipie w Czarnolesiu, dziedzicznéj wsi znakomitego naszego poety Jana Kochanowskiego, do ostatnich czasów od 500 przeszło lat rosnącéj, która już wtedy kiedy ten wielki narodowy wieszcz żył i pisał, była potężną i rozłożystą, udzielając mu pożądanego przy pracy cienia i chłodu, dziś już podobno nie istnieje. Napotyka się téż lipy i tysiąc lat przeszło mające, a wciąż rosnące, dochodzące nieraz od 40 do 60 stóp obwodu, które chociaż wewnątrz próchnieją, to przecież w konary i gałęzie nie przestają się rozrastać. Koło jeziora Gopła i miasta Kruszwicy, pod Gnieznem i w Krakowie są lipy, piérwsze czasy polskie pamiętające. Teraz właśnie 1000 lat ubiega, gdy w porze miodobrania rodzina Piastów, roku po narodzeniu Chrystusa Pana jakoś około 860 na tronie polskim zasiadła. Niejedna dziś jeszcze rosnąca lipa ową uroczystą chwilę pamięta. Możnaby tego roku znowu tam lipinę posadzić, aby na następne 1000 lat żyjąca pamiątka została.

Lasy lipowe czyste, niegdyś bardzo u nas pospolite, dziś wyniszczone, tylko jeszcze na Rusi, w Galicyi, Sandomirskiém i Krakowskiém napotykane być mogą. Tam też i historycznych lip dużo. Nad Wisłą na Skałce pod Krakowem są ręką Sgo Stanisława sadzone, a pod Piotrowinem koło Solca, naprzeciwko pałacu nad tąż Wisłą także Sgo Stanisława lipę pokazują. Po całym zaś kraju lud wié dobrze, pod którą lipą odpoczywał Czarniecki, gdzie obozował ten i ów rycérz, czego przykładem okolice miasteczka Siewierza i pamiętnéj Częstochowy, oraz wiele innych i t. p.

Jeżeli lipa rośnie we zwartym lesie, to wyrasta bardzo wysoko, wolno zaś stojące drzewa jak w alejach i przy drogach, lub samotne tu i owdzie, rozrastają się w piękną koronę, która rzecz szczególna, ma podobieństwo do sercowatego lipowego liścia, lub też do dobrze postawionego stogu siana.

Grunt lipa lubi dobry i gliniasty, a przecież pulchny, miernie wilgotny.

Co do klimatu to najwłaściwszym jest dla niéj taki, jak nasz umiarkowany, choć i tęgie zimy mianowicie starsza potrafi znosić.

Rozmnażać ją można za pomocą siéwu nasienia, które wschodzi po 6 tygodniach lub też dopiéro za rok, albo co najlepiéj za pomocą odkładów. Młode drzewka często giną, potrzebują szczéréj opieki; ale z korzania lub też po ścięciu, tak stare jak młode nadzwyczaj szybko puszczają tęgie latorośle, co nieraz i ścięty kloc lipy okazuje. Pochodzi to ztąd, że drzewo miękkie tyle z ziemi przyciąga wilgoci, ile do wydania tych pędów potrzeba.

(Dokończenie nastąpi).

# Co słychać w świecie?

Zawrzała już gwałtownie domowa wojna we Francyi; walczą Francuzi przeciw Francuzom, którzy dotąd jedną byli przejęci myślą wyparcia Presaków z kraju. Wojna domowa jest to ciężka klęska, która dotknęła Francyję. Armija powstańcza stacza bój z armiją rządową. Powstańcy zamordowali kilku jenerałów w Paryżu, a dowódzcy wojska rządowego kazali rozstrzélać powstańców zabranych w niewolę w toczącéj się walce. Takie postępowanie ze strony rządu jest utrudniającém pojednanie się obustronne. Jeżeli Thiers sądzi, iż łatwo obali rzeczpospolitą — to łatwo się przerachować może, bo wojna domowa we Francyi może wziąść nie oczekiwany obrót. Szczęściem, że Thiers znalazł wierne wojsko złożone z jeńców powracających z Prus, lecz niech pamięta, że nie mieczem i ogniem, ale roztropnością porządek przywrócić może we Francyi.

Dnia 8 kwietnia krążył telegram, że wojskom wersalskim udało się wkroczyć do Paryża. W Marsylii d. 7 kwietnia walczono na ulicach przez 12 godzin, i padło z obu stron około 500 ludzi. Spokój został już przywrócony.

Na posiedzeniu d. 1 bm. przy obradach nad ustawą dla césarstwa niemieckiego poseł Żółtowski wniósł oświadczenie w imieniu Polaków, żądając wyłączenia ziem polskich z obrębu państwa niemieckiego, albowiem kongres wiédeński w r. 1814 zawarował osobne narodowe stanowisko w obec Niemiec dla krajów niegdyś polskich.

W Paryżu smutno i groźno; nędza wzmaga się okropnie, bo nikt nie pracuje, a z kraju nie chcą ludzie posyłać żywności, z powodu niepewności zapłaty. Podczas oblężenia nawet, Paryż nie wyglądał tak smutno jak dziś, poczty, koleje zastanowione. Listów do i z Paryża nie przyjmują. W przeszłym tygodniu przed zastanowieniem pociągów kolejowych, opuściło Paryż 160.000 osób; teraz wyjście jest utrudnione. Komuna znajduje się w przykrém położeniu dla braku pieniędzy. Utrzymanie gwardyi potrzebuje dziennie 300,000 franków. Gwardziści uczęszczają do najpiérwszych gospód, ale nie płacą. W kilku kasach zabrano całą gotówkę. Bank musiał zapłacić komitetowi 3 milijony franków, aby uniknąć rabunku. Komuna kupiła drukarnię, która ma dostarczać biletów bankowych.

W wielu miejscach we Francyi, mianowicie gdzie się odbywały bitwy, wybuchły choroby zaraźliwe. Poczyniono środki niezbędne dla zapobieżenia szérzeniu się chorobom, wskutek czego wszelkie jarmarki i liczne zebrania się odroczono do 1872 roku.

Donoszą z Paryża 9 kwietnia, że bombardowanie Paryża trwa z gwałtownością od 36 godzin. Na ulicach

i placach po większéj części komenderują oficerowie polscy i Garybaldczycy. W Paryżu brak amunicyi.

Książe Fryderyk otrzymał rozkaz od césarza, by był gotowym ze swym sztabem do wyjazdu, w razie gdyby Thiers odstąpił, Niemcy będą restaurowali césarstwo.

Nad wojskami rządu wersalskiego Mac-Machon objął główne dowództwo dnia 11 kwietnia.

Zaszły wielkie nadużycia w Bukareszcie w Rumunii, gdzie Niemcy urządzili d. 22 marca uroczystość na cześć zwycięzkiego césarza Wilhelma. Wśród uroczystości wpadł tłum ludu do sali. Wszczęła się bitka. Zniszczono salę, kilka osób ciężko rannych. Wszędzie Niemcy występują podburzająco, ale wszędzie są znienawidzeni. Wypadek ten wywołał w kraju wielkie zamięszanie. Niemcy żądają od księcia ujęcia się za sobą, a żądanie to poparto także z Berlina. Wskutek tego ministerstwo prosi o uwolnienie. Zdaje się, że to wszystko dzieje się według planów z Berlina i Petersburga nadchodzących.

W Hiszpanii wybuchły rozruchy. W wielu miejscach, a szczególnie w Saragosie, Kordowie i Walencyi niepokój. Stronnictwo republikańskie wzmaga się; król Amadeusz chciał już podziękować, lecz go ministrowie wstrzymali.

Posłowie polscy w Berlinie sprzeciwiali się wcieleniu ziem polskich w zaborze pruskim do państwa niemieckiego. Bismark nienawidząc Polaków, odpowiedział, że Polacy walcząc za sprawę niemiecką i krew dla niéj przelewając, już tém samém stwierdzili swą przynależność do Niemiec! Oto wdzięczność pruska za polską waleczność; oto los Polaków pod rządem pruskim, zmuszonych do orężnéj pracy nad zagładą własnéj narodowości!...

Bismark zawiadomił Thiersa, że jeżeli do końca kwietnia nie będzie w Paryżu porządku, Niemcy zajmą Paryż. Straszne rzeczy! Co to robi niezgoda domowa! Mówią, że w Paryżu istny dzień sądny.

## ROZMAITOŚCI.

P. Teofil Ostaszewski, dziedzic ze Wzdowa, którego wiérszyki piękne czytaliście w naszém piśmie, wydał, jak wiécie, bardzo zajmującą książeczkę p. n. Moje dobre chęci. Nie dawno wyszedł w Krakowie zeszyt II, który mieści znowu pouczające powiastki i bajki wiérszem na 64 stronicach, a kosztuje tylko 10 centów! Polecamy gorąco tę z sercem napisaną pracę, na któréj tytule czytamy:

Chłopska ciemnota — niedola —
To nietknięta nasza rola.
Gdy ją dobrze uprawimy,
Ojczyznę naszą zbawimy.
Gdy razem na jednym łanie
Chłop z swym dawnym panem stanie:
Na łanie jedności,
Oświaty, miłości —
Nadzieja ciałem się stanie...
Twém słowem wskrzesisz ją, Panie!

Jak donoszą powszechnie z rozmaitych okolic, mnóstwo wszędzie zarodków na gąsienice. Środek łatwy, który przez towarzystwo rolnicze paryzkie miał być za skuteczny przeciw gąsienicom uznany, jest następujący. Gdy na drzewie jakiém pokażą się gąsienice, powiesić na gałązkach tego drzewa kilka gałązek zielonych jałowcu, a najlepiéj od strony wiatru, a woń jałowcu odpędzi gąsienice.

W sadach i ogrodach wypodłoby to uczynić z każdém dzzewem, bo jałowiec u nas nie jest rzadkim, a robota nie jest wielką.

Z drzew owocowych, gdy owoc się zawięzuje, opada zawsze wielka liczba małych niedojrzałych owoców, które zostają pod drzewami. Opadanie takich nie dojrzałych owoców, jest przyczyną zarodów rozmaitego robactwa, które utrudnia rozwinięcie dalsze i dojrzenie owocu, który też spada na ziemię.

Opadnięte na ziemię, ogrzane słońcem owoce wydają tysiące szkodliwego robactwa, które potém obsiada drzewa, niszczy je lub owoc. Wszystek zatém opadły, niedojrzały owoc, z pod drzew powinien być wybiéranym i zniszczonym, bo tym sposobem niszczy się zarody szkodliwego robactwa, a praca i staranność gospodarza sowicie nagrodzone zostaną, albowiem daleko więcéj będzie owocu dobrego.

† W dniu 22 marca r. b. zmarł w Lesku Ignacy Mamczyński, Krakowianin, dr. medycyny i chirurgii, magister położnictwa, lekarz powiatowy, członek komisyi fizyjograficznéj krakowskiéj, tow. lekarzy galicyjskich, przeżywszy lat 36. S. p. Ignacy Mamczyński padł ofiarą swojego poświęcenia, niosąc gorliwą pomoc współbraciom swoim, zaraziwszy się bowiem tyfusem, w 18-tym dniu swojéj choroby, z wielkim żalem wszystkich znajomych i okolicznego obywatelstwa Bogu ducha oddał. Pokój jego popiołom a cześć pamięci!...

## Odpowiedzi.

Na zapytanie, jakie ziemniaki lepiéj sadzić, czy całe lub pokrajane — odpowiadamy, iż to rzecz obojętna; radzimy jednak sadzić pokrajane z téj przyczyny, iż mniéj ziemniaków spotrzebujemy. Tylko przed sadzeniem trzeba pędy czyli kły obłamać, i ziemniaki przynajmniéj 10 dni w izbie do sąsieka złożyć, żeby powiędły, bo wilgotne ziemniaki gniją w ziemi. A przy sadzeniu przestrzegać, żeby ziemniaki kładziono oczkami do góry.

Mich. Paźd. w S. na zapytanie, jaką mieszankę trzeba siać, aby mieć dobrą paszę dla bydła — odpowiadamy, iż mieszanka wyki, grochu owsa, jęczmienia, żyta jarego, bobu, tatarki i gorczycy białéj, jeżeli ją kto ma, jest bardzo dobrą. Taką mieszanką dobrze jest obsiać ugór, bo przez to zyskuje się dużo paszy dobréj, i grunt się przysposabia pod oziminy.

Redaktor odpowiedzialny: *Józef Chmielewski.*

Wydawca S. Jordan. W drukarni W. Jaworskiego w Krakowie.